Nr. 10. Lwów, 15 maja 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

W sprawie jarząbka

przez

C. Kochanowskiego.



Wśród niewielkiej ilości zwierza łownego, znajdującego się wewnątrz naszych Karpat, wcale niepoślednie miejsce zajmuje jarząbek (*Tetrao bonasia*). Mimo bowiem wszelkich przeszkód w rozwoju, mimo znacznej bardzo ilości nieprzyjaciół tak czworo- jak dwunożnych i to tych chodzących i latających, rozmnaża się dość łatwo i gdyby jego rozmnożeniu tylko trochę dopomódz, moglibyśmy w krótkim przeciągu czasu mieć bardzo dobry stan tej zwierzyny łownej, zaliczanej do polowania średniego. Jestem bowiem tego zdania, że wśród bardzo ograniczonej liczby zwierza łownego, pożytecznego, który w naszych górach, wobec panujących stosunków klimatycznych, z powodzeniem rozmnożyć możemy, może nasz jarząbek bezsprzecznie zająć przednie miejsce. Lubiąc rozległe bory ogranicza on swój pobyt obecnie jedynie na góry, rzadko zaś tylko spotkać go można na przedgórzu, tu głównie w lasach czysto szpilkowych, lub mieszanych szpilkowych z liściastymi, bardzo rzadko zaś w lasach liściastych i to prawie wyłącznie wtedy, gdy się zabłąka z sąsiednich szpilkowych drzewostanów.

Samiczka, podczas wiosennych toczków zapłodniona, oddziela się około połowy lub w drugiej połowie kwietnia od kogucika, który odtąd aż do jesieni

w samotnika się bawi i przygotowuje gniazdeczko. Układa je z mchów i suchych gałązek na ziemi, zużytkowując chętnie na ten cel małe zagłębienia w ziemi, znajdujące się pod osłoną dobrze zwartych krzaków, których gałęzie dosięgają ziemi. W gniazdeczko to składa ona dziesięć do szesnastu brunatnawych jajeczek, które następnie przez przeciąg około trzech tygodni, bez jakiejkolwiek pomocy kogucika, który zresztą ją opuścił, nader troskliwie i przykładnie wysiaduje.

Z jaj w gniazdku wylęga się ledwie połowa, jeżeli w ogóle całe gniazdo zniszczone nie zostało. Młode jarząbki, skoro tylko ze skorupki się oczyszczą, natychmiast są do biegu zdolne.

Upierzenie młodych również niebawem następuje, tak, iż po pięciu do sześciu tygodni znajdują bezpieczniejsze schronisko na drzewach, kędy je troskliwa matka na noc prowadzi, by je przed rabusiami, o ile można, ochronić.

Czas od złożenia jaja, aż do tej chwili, kiedy młode ptaki latać zaczęły, jest dla rozmnażania się jarząbków najniebezpieczniejszym, w tym bowiem czasie potomstwo jarzębcze ginie w znacznej części wskutek przeróżnych wrogich wpływów, a dopiero o części, która peryod ten przebyła, można powiedzieć, że jest już prawie uratowaną, a w każdym razie, że peryod ten przebywszy, jarząbek łatwiej może ujść przed niebezpieczeństwami mu grożącemi.

Chcąc więc wiedzieć, w jaki sposób niebezpieczeństwom tym zapobiedz należy, trzeba nasamprzód zapoznać się z niebezpieczeństwami, jakie przez cały rok jarząbkowi grożą, ażeby wedle rodzaju i stopnia niebezpieczeństwa zastosować środki zapobiegawcze.

Jarząbkowi mogą grozić niebezpieczeństwa ze strony: *a)* klimatycznych wpływów, *b)* drapieżnych ptaków, *c)* drapieżnej zwierzyny i *d)* człowieka.

Klimatyczne wpływy objawiają się ujemnie przez opady atmosferyczne i obniżenie się temperatury powietrza poniżej punktu tajania lodu. Długotrwałe zazwyczaj na wiosnę zimna, niejednokrotnie ze śniegiem zmieszane deszcze, lub też zupełne śnieżyce, jakie się w górach bardzo często nawet w miesiącu maju wydarzają, oziębiają całe gniazdo, szczególniej w porę, kiedy kura, mimo okrycia gniazdeczka, zmuszoną jest je zostawić dla poszukania sobie żywności, lub też działają niszcząco na delikatny jeszcze organizm, dopiero co wylęgłych jarząbków. W ten sam sposób działa mróz.

Wskutek tego da się łatwo wytłumaczyć, że ze złożonych jaj wskutek przeziębienia, znaczna część wcale się nie wylęga, z tych zaś samych powodów ginie niejednokrotnie całe gniazdo już w pierwszym stadyum rozwoju.

Środków zaradczych przeciw niekorzystnym wpływom klimatycznym nie mamy, albowiem z jednej strony mamy tu do czynienia z siłami elementarnemi, których człowiek dotychczas nie może zupełnie opanować, z drugiej zaś strony z ptakiem dzikim, na którego rozwój możemy tylko pośredni mieć wpływ. Natomiast możemy w pewnym stopniu częściowo tym szkodom zapobiedz, a to w ten sposób, że nie będziemy ogołacali z zarośli miejsc, gdzie się jarząbki wylęgają. Są to miejsca ku południowi obrócone, z krzakami, osobliwie zaś młodemi drzewami szpilkowemi, zresztą pod okapem drzew w rzadkiem zwarciu stojące, szczególniej jodełkami zarosłe. Równocześnie nie powinniśmy dozwalać, by drzewa te z czasem zupełnie się zwierały, albowiem wtedy, wskutek zwarcia, zaczynają z gałęzi się czyścić, a tem samem tracić warunki odpowiednie dla chowu jarząbka. Wolno wyrastające drzewka szpilkowe, szczególniej jodły dają silne, boczne gałęzie, które końcami swymi ku ziemi się pochylając, tworzą pod sobą naturalną dla jarząbka osłonę i ochronę przed wpływami atmosferycznymi.

Skoro jarząbki urosły, zmniejszają się oczywiście niebezpieczeństwa grożące ze strony wpływów atmosferycznych i chyba tylko bardzo silne gradobicia, na szczęście zresztą dość rzadko się przytrafiające, mogą wśród lata wyrządzić szkodę, która ostatecznie nie będzie tak znaczną.

P t a k i d r a p i e ż n e są, z wyjątkiem jastrzębia, krogulca i puhacza, stosunkowo mniej niebezpieczne, a to z tego powodu, że kura nader wytrwale na gnieździe siedząc, rzadko z gniazda się rusza, przeto w tym czasie dla wielu drapieżnych ptaków jest niewidoczna, dalej, że młode, dopóki latać nie potrafią, wraz z matką najchętniej w młodych, dobrze zwartych, a zatem dla tych lotnych drapieżców zamkniętych młodnikach przebywają i że jarząbek po wydoskonaleniu się przebywa również w lasach zwartych, gdzie lot drapieżców również ze znacznemi przeszkodami jest połączony.

Natomiast niebezpiecznym jest jastrząb, tak dla kur siedzących na gniazdach, jak i młodych nie ulatujących jeszcze jarząbków, unosząc się bowiem prawie po nad samą ziemią, bystrym swym wzrokiem dostrzeże natychmiast kureczkę na gniazdku siedzącą, lub też młode nieloty po ziemi biegające. Jest on nieprzyjacielem i wyrosłych jarząbków, szczególniej na świeżych zrębach, gdzie okrywa jeszcze mała.

Groźnym nieprzyjacielem młodych jarząbków, dopóki one jeszcze latać nie potrafią, staje się krogulec, który i w wysokim lesie polowania urządza, a tam wskutek niewielkiej postaci i wielkiej swojej ruchliwości, staje się w pierwszych dniach po wylężeniu bardzo groźnym dla jarząbka, groźniejszym nawet nieprzyjacielem, aniżeli krewniak jego jastrząb.

Puhacz staje się szkodliwym dla młodych, skoro zaczną latać, lecz w równej mierze i dla starych jarząbków, albowiem ruszając pod wieczór na łowy, przydybuje jarząbki na ten napad nieprzygotowane, siedzące na noc na gałęziach, znajdujących się w połowie wysokości drzewa, tuż obok strzały.

Środki zaradcze przeciw powyższym szkodnikom są takie same, jak i u zwierząt drapieżnych, a że o tych następnie mówić będziemy, więc też i opis tych środków pozostawiamy na później.

Wśród z w i e r z ą t d r a p i e ż n y c h mają jarząbki następujących nieprzyjaciół, ugrupowanych wedle stopnia ich szkodliwości: łasica, kuna, wiewiórka, tchórz, lis, żbik. Najniebezpieczniejszym wrogiem i najgorszym niszczycielem rodu jarząbczego jest mojem zdaniem łasica. Twierdzenie to łatwo zrozumie ten, kto zna jej ruchliwość i nigdy nienasyconą żądzę mordowania, czem w ogóle gatunek łasicowatych się odznacza. Będąc przytem niewielkiej postaci może długi czas broić bezkarnie, zanim oko myśliwego ją dostrzeże. Wróg ten zagnieździwszy się w jednem miejscu, przeszukuje oko-

licę w każdym kierunku jak najskrupulatniej, wszędzie wejrzy, wszędzie się weiśnie, a co z żyjątek mniejszych, lub swej własnej wielkości napadnie, to wszystko pada ofiarą nienasyconego mordercy. Pod ostrymi ząbkami tego wroga ginie może najwięcej jarząbków, tak w gnieździe, jak też już po wylęgnięciu. Stare morduje łasiczka, skoro się tylko do nich dostanie.

Tak samo niebezpieczną dla jarząbków jest kuna, dalej tchórz, lecz że ich stosunkowo mniej, więc też w miarę tego, w jakiej ilości one w pewnej okolicy się znajdują, zależną jest miara niebezpieczeństwa dla jarząbków. Gorszą jest bez wątpienia kuna, a to z tego powodu, że odbywa dalekie wędrówki po lasach, podczas gdy wycieczki tchórzów ograniczają się na obszar nieopodal miejsca przebywania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POLOWANIE NA JELENIE
w Karpatach pokuckich.

Tłómaczenie z notatek myśliwskich E. Buxtona (Short Stalks by Edward North Buxton).

Dokończenie.

Nie chcę nudzić czytelników opowiadaniem o tych wilgotnych lecz cudownych dniach, spędzonych w moim nowym miocie w dolinie zwanej Dziurdziniec. Był to długi i głęboki jar o ścianach tak stromych, jakie się rzadko w Karpatach spotyka. Tu już było zupełne pustkowie, nawet przez mego gospodarza nigdy dotąd nie odwiedzane, ale porządek i wygody były jednakowe. Miot ten był bardzo rozległy, rozciągał się także na pobliską dolinę i dlatego były tu aż cztery koliby; lecz ja mojej nie opuściłem dla tej prostej przyczyny, że żaden koń nie mógł się dostać z jednej do drugiej.

Tutaj moim przewodnikiem był dawny złodziej Jakim; miał on o swoich myśliwskich zdolnościach wysokie wyobrażenie. Był chudy, wysoki, a jego ruchy przypominały pełzanie węża; w ubiegłych, ciemnych latach swego życia ubił on nie jednego pięknego byka, lecz od czasu, jak został leśnym i przez to samo poważanym członkiem społeczeństwa, ani jednego jelenia kłusownicy nie zabili w jego rewirze, co dowodziło, że umiał użyć swojej powagi. Oczywiście nie mówiliśmy do siebie nigdy, ale porozumiewaliśmy się doskonale. Gdy czasem w chwili wątpliwości jakiej spoglądałem za siebie szukając porady, zawsze tuż przy moim łokciu widziałem zemocyonowaną twarz Jakima. Różnił się od innych chłopów tem, że zawsze wiedział czego chciał i jednym ruchem ręki wszystko mi tłómaczył. Ślepo jak dziecko ufał mojej broni, znak widoczny jego prostej, chłopskiej natury, ja zaś spuszczałem się na jego doświadczenie. Ponieważ pora do podchodzenia jeleni była teraz najwłaściwsza, a kilka dobrych byków wędrowało tu i ówdzie odzywając się głośno, ciągle za nimi chodziłem. Często bardzo podszedłem nadzwyczaj blisko, ale nadaremnie, czasem silny parkot tego zwierza dolatywał mnie, ale niestety nie będąc psem zwykle fałszywą obierałem drogę. Zapewne i jelenie często nas zwietrzyły i dlatego oddalały się. Ciekawą jest rzeczą jak te wielkie, ciężkie stworzenia cicho uciekają, gdy spłoszone; zasłyszałem, jak się jeleń tarzał w błocie, a ujrzeć go nie zdołałem. Są one tak niespokojne, że długo w jednym miocie nie pozostają. Szczęściło mi się jednak ciągle, bo w trzech następujących dniach trzy jelenie ubiłem, a za każdym razem Jakim okrywał ręce moje pocałunkami i klękając przedemną całował mnie po nogach; delikatny ten sposób wyrażania swego podziwu nieco zawstydza skromnego człowieka.

Teraz niestety przychodzi mi się przyznać do ciężkich błędów, które popełniłem; dwa razy pomyliłem się strzelając. Pewnego dnia zabiwszy dobrego jedenastaka na wysokiej, zarośniętej górze, szedłem ku miejscu, gdzie padł, gdy nagle usłyszałem gruby głos należący do wielkiej sztuki. Odzywał się poza grzbietem stromej góry, która się wznosiła o jakie 200 kroków przedemną; w przekonaniu, że jeleń ukaże się na wierzchołku, skryłem się poza drzewa i czekałem. Siedziałem tak 4 godziny przysłuchując się koncertowi tego staruszka, wreszcie cierpliwość moja, jak wtedy sądziłem, została wynagrodzoną, ujrzałem kontury jelenia wychylające się z poza drzew właśnie w miejscu, w którem się jego przybycia spodziewałem, byłem więc pewny, że to ten pan, którego całego kazania wysłuchałem. Korzystając z chwili, w której znalazł się on poza gęstymi krzewami, posunąłem się w otwarte miejsce i usiadłem. Zobaczył mnie zaraz i łeb zadarł do góry, wtedy należało było uważniej mu się przyjrzeć, lecz ja zapominając o wszelkiej ostrożności strzeliłem i położyłem go na miejscu. Okazało się, że to był mały „Beihirsch", ósmak, poprostu dziecko, ważył 23 stonów. Pięć minut nie upłynęło od mego strzału, a tamten prawdziwy patryarcha w tem samem miejscu dalej swą przemowę do swej rodziny prowadził. Spróbowałem wtedy dotrzeć do jego zamku, ale wiatr, który dość silnie wiał, ostrzegł go o mojem przybyciu i musiałem dać za wygranę.

Dwa dni potem podchodziłem z zapałem jelenia, który widocznie był w sprzeczce ze swoim rywalem. Głos drugiego również wyraźnie do mnie dochodził, co parę minut groźnie się odzywał, lecz ja nie potrzebo-

wałem iść wyłącznie przy pomocy słuchu, gdyż i trop jego na miękkiej trawie, i silna woń, jaką za sobą zostawiał, były również doskonałemi wskazówkami. Z natężeniem więc trzech moich zmysłów postępowałem naprzód, myśląc wciąż tylko o przyszłej mej zdobyczy. Krótko mówiąc zabiłem wtedy rzeczywiście wyjątkowego jelenia, a przecież zdawało mi się, że oglądając zwierza Jakim smutno głową kiwał. Naturalnie nie mogłem się z nim rozmówić, dopiero, gdy Winter przybył z koliby, dowiedziałem się smutnej prawdy: otóż podobno nim strzeliłem, Jakim spostrzegł największego jelenia, jakiego w swem życiu widział, stojącego o jakich 60 kroków odemnie, a zmierzającego ku swemu rywalowi. Jakim utrzymywał, że mnie trącał, ale dodał „ten pan nie zważał na to, a ja się tego wielkiego angielskiego pana bałem“. Przyznaję, że trącania tego wcale nie czułem. W dawnych rycerskich czasach byłbym zapewne srodze ukarany za taki występek przeciw zasadom myśliwskim.

Gdyśmy się znowu w leśniczówce zeszli, zamiast spodziewanych pochwał, na które myślałem, że zasłużyłem, usłyszałem tylko zachętę. Obiecywano mi, że mogę jeszcze zabić wielkiego, prawdziwie dobrego jelenia, który podobno teraz przebywał na górze zwanej Kukul. Książę podchodził go 3 dni i jeden z jego ludzi zoczył to zwierzę, podobno ogromne z niesłychanymi rogami. W tem miejscu jeleni było mało, bo las rósł tam bardzo gęsto, ale te, które się tam znajdowały były niezwykle okazałe. Było to wszakże bardzo daleko, a jelenie już przestawały ryczeć, ale ostatecznie mogło się udać, pytano mnie więc, czy chcę spróbować szczęścia. Nie wahałem się ani chwili i wyruszyliśmy w drogę. Podróż z mego dawnego koczowiska do nowego zajęła nam prawie trzy dni czasu, po drodze trochę polowałem ale bez rezultatu, złowiliśmy tylko złodzieja, który kradł ryby w Prucie i którego po dotkliwej lekcyi wypuściliśmy. Doszliśmy do Hawrylca wielkiego, to jest do miejsca naszego przeznaczenia, w południe i zaraz udałem się na spoczynek, tak upragniony po 6-godzinnym, ostatnim marszu. Ledwo zasnąłem, gdy jeden z ludzi przyszedł mi powiedzieć, że jeleń ryczy niedaleko, wyszedłem więc przed kolibę i usłyszałem go przed sobą w jarze. Dziwiło mnie to tylko, że się jeleń tak wcześnie odzywa, bo dopiero była druga godzina, ale zaraz jak niecierpliwy młodzik wyruszyłem. Po godzinie szybkiego marszu zdawało mi się, że się rzeczywiście do niego zbliżam, ale po głosie poznałem, że się pomału naprzód posuwa. Trochę dalej natrafiłem na jego trop, który uwidoczniał, że to nie był „Beihirsch“, ale bardzo wielki byk. Po chwili umilkł, nie odpowiedział też na wabienie mego nowego przewodnika Nikoły. Gdy po pół godzinie znowu się odezwał, zdawało się nam, że jest tuż obok nas, zeszliśmy tedy ze ścieżki i chodzenie stało się strasznie uciążliwe. Całą godzinę przedzieraliśmy się przez krzewy i złomy, czasami zdawało mi się, że go dochodzimy, że dzieli nas już tylko jakich sto kroków, a wtedy znowu przeszkody prawie niemożliwe do przebycia pozwalały mu znacznie od nas się oddalić. Cały czas wdrapywaliśmy się na złomy lub czołgali popod nie, skakaliśmy z jednego śliskiego, nawpół zgniłego pnia na drugi, w końcu już nogi zaczęły mi wypowiadać posłuszeństwo — byłem tak umęczony, że już cicho stąpać nie byłem w stanie. Ale w takim razie na każdą gałązkę trudno zważać, coś musi się ryzykować, a nawet zdarza się, że trzaśnięcie gałązki ściąga jelenia. Wreszcie doszliśmy do miejsca tak zawalonego drzewami, że w żaden sposób postępować nie było można, tropy jelenia same jednak wskazały nam drogę. Idąc też za nimi doszliśmy do strumyka; jeleń ryczał o 80 kroków na przeciwległej stronie na brzegu, który był bardzo stromy; jak zwykle zasłaniała go firanka zieloności. Łatwo było zejść do strumyka, lecz trudniej wydrapać się po przeciwnej stronie, ale i to trzeba było spróbować. Przypomniałem sobie, że nieraz z powodu braku odwagi straciłem tyleż, co przez nieostrożność lub pospiech. Część drogi odbyła się szczęśliwie i spostrzegłem teraz wielki krzak, z którego wydawało mi się, że głos wychodzi. Trzeba było iść dalej i teraz zaczynała się najgorsza część przeprawy. Nieszczęście chciało, że jeleń przestał ryczeć, jak gdyby był co usłyszał. Nikoła chciał iść prosto, lecz mnie się to wydało zbyt uciążliwe, posunąłem się więc parę kroków w dół strumyka skąd prowadziła do góry ścieżka, na której stąpanie nasze umilkło. Zostawiłem Nikołę na dole i piąłem się powoli do góry omijając wszystkie przeszkody. Znowu ujrzałem te same krzewy, ale już tylko o 30 kroków odległe, niestety tyle było złomów, że nie dojrzeć nie mogłem. Póki stałem spokojnie, byłem bezpieczny, bo nie łatwo rozpoznać stojącego człowieka między tyloma prostemi drzewami; najlepszym tego dowodem były małe ptaszki, które fruwały koło mnie bez obawy. Miałem przed sobą lukę między drzewami i namyślałem się, czy posunąć się jeszcze naprzód, gdy ujrzałem kontury jelenia. Padał tam głęboki cień i chwilę myśląc, że to ów jeleń doznałem rozczarowania, widząc małe jego rozmiary; była to jednak łania, przeszła na lewo i wnet ją z oczu straciłem. Za nią przesunęła się druga i wtedy pewny, że rogacz za niemi podąży, przygotowałem się do strzału. Rzeczywiście zaraz potem ujrzałem go, szedł ze spuszczonym łbem, którym czasami potrząsał, posuwał się powoli i długo czekałem, wiek cały, nim ujrzałem cały las białych, świecących punktów i w tył zadarte przepyszne rogi. Z mego stanowiska mogłem widzieć tylko część jego ciała, więc, gdy tylko łopatka się okazała, strzeliłem. Jeleń się zachwiał, gałęzie trzasły, jeleń znikł, włożyłem drugi nabój do sztućca i podążyłem za nim. Parę kroków dalej stał oparty o młodą jodłę, strzeliłem drugi raz i tak byłem pewny swego, że odwróciłem się i zacząłem powiewać czapką w stronę mego towarzysza. Gdym znów spojrzał przed siebie jelenia nie było. Nikoła natychmiast począł szukać farby, a nie znajdując jej desperackimi ruchami chciał mnie przekonać, że jeleń w drugim miocie zapewne się znajduje. Tak źle nie było, leżał o parę kroków ten sędziwy staruszek, siwy, ślepy na jedno oko, kły już prawie całkiem zjedzone miał, tylko skórę na kościach, ale rogi były przepyszne, prawdziwy ośmnastak.

Wybaczcie mi, że wobec tego nadzwyczajnego okazu cokolwiek się rozpisuję; wysokość tych rogów wynosiła 52 cali, a ciężar ich 20 funtów 8 łutów; są to cyfry, z któremi rzadko kiedy spotkać się można. Waga jego korpusu wynosiła tylko 36 stonów, gdyż był bardzo wychudzony. Zapewne z początkiem rykowiska byłby więcej zaważył. Wedle zwyczaju porównywano te rogi z innymi, znajdującymi się w Wiedniu

i orzeczono, że były najpiękniejsze, jakie zdobyto tego roku w Austryi lub Polsce. Może 2 lub 3 głowy węgierskich jeleni mogły być z niemi porównane. Osądzono później wiek tego byka na lat 50. Bądź co bądź ogromne było szczęście moje, żem zabił taki pyszny okaz, zważywszy, że to już było 3. października i już prawie ciemno, gdym do niego strzelał.

Dochodziła już piąta, zmuszeni byliśmy pozostawić tego olbrzyma tam, gdzie padł, z obawy, by noc nas nie zaskoczyła w tym labiryncie. Tak niesłychanie byłem zmęczony, że wracałem do domu z niemniejszym zapałem, niż wyruszyłem na to obiecujące polowanie. Teraz, gdy doszedłem do szczytu mego powodzenia, nie chciałem już więcej kusić fortuny i wróciłem do moich przyjaciół, którzy mnie oczekiwali w leśniczówce, z projektem nowoułożonym polowania na niedźwiedzie. Ale chyba to polowanie nie może iść w porównanie z polowaniem na jelenie na rykowisku.

W sprawie przepiórki.

Nietylko u nas, ale zwłaszcza w całej zachodniej Europie skarżą się na zmniejszający się rok rocznie przylot przepiórek. W Czechach, Austryi i Niemczech należą one dziś już do rzadkości. Niemieckie gazety myśliwskie niejednokrotnie już tę sprawę poruszały, a liczne artykuły nadesłane, zgadzają się mniej więcej z tem, że brak ten przypisać należy prawie wyłącznie masowemu wyłapywaniu i mordowaniu ich w południowych Włoszech, na Sycylii i w północnej Afryce. Zwracano uwagę na to, że niezliczone ilości padają ofiarą znanego łakomstwa Włochów na wszelkie drobne ptaki, że jednak jeszcze większa ilość wyłapywaną bywa w Egipcie na eksport do Anglii, przyczem zaledwie trzecia część przybywa żywo na miejsce przeznaczenia. Podobno na wybrzeżu afrykańskiem oczekują mieszkańcy nadlatujących przepiórek, urządziwszy uprzednio długie bardzo potrzaski, plecione z sitowia. Zmęczone długą podróżą morską ptaki, zapadają od razu na płaskim i gołym brzegu, chroniąc się tłumnie w zdradliwe pokrycie, poczem za jednem pociągnięciem sznurka, wszystkie otwory się zamykają. W mniej więcej podobny sposób odbywa się połów wiosenny, gdy przepiórki gromadzą się do wspólnego odlotu, na wybrzeżu. Natłoczone w klatkach odsyłają okrętami do portów włoskich i francuskich, a ztąd koleją do Anglii. To też podnoszą się coraz liczniejsze głosy, by rząd niemiecki przewozu tego zakazał, tak jak to już podobno uczyniła Francya. W ten sposób możnaby temu barbarzyństwu położyć tamę.



Jarząbek. Oryg. klisza „Łowca".

Gdy bawiłem w Neapolu i na Sycylii w czasie jesiennego przelotu przepiórek, zwracałem baczną uwagę na tę sprawę i wypytywałem się niejednokrotnie mieszkań-

ców o sposób polowania na nie, muszę jednak wyznać. że nietylko niczego złego się nie dowiedziałem, ale i nic zdrożnego nie spostrzegłem. Widziałem wprawdzie koło Palerma strzelca wracającego z polowania na ośle, z sakwami pełnemi przepiórek, a w Neapolu wielu strzelców wyruszających na polowanie, w pasach na sposób amerykański przewieszonych przez ramię, a nadzianych nabojami, ale i u nas w dobrym roku dużo naboi się bierze i z liczną zdobyczą się wraca, bardzo często zaś spotykane przezemnie wyżły, rasy niemieckiej (czeskiej), wskazywałyby na to, że polowanie w sposób odpowiedni się odbywa. Nawet właściciel kiosku z piwem na Capri, który za wynagrodzeniem proponował mi polowanie, miał obok licznych dubeltówek, także i dwa dobre psy dla swej klienteli. Koło Neapolu wydawało mi się polowanie dość utrudnionem, wskutek oryginalnej uprawy winorośli na drzewach i sznurach między niemi rozpiętych, że zaś drzewa te stoją wśród ról długimi rzędami, o kilkadziesiąt kroków od siebie oddalonymi, więc też i strzał w takich warunkach do trudnych zaliczyćby trzeba. Na Sycylii mówiono mi, że *quallia*, tak nazywają przepiórkę, nie jest tak upragnioną, jak *beccacio*, t. j. dubelt lub słonka, które później przybywają i żerują nad licznymi rowami, służącymi do nawodniania, które jednak za mego pobytu były prawie suche.

Choć tedy nie da się zaprzeczyć, że niszczenie przepiórek w tych okolicach i w Afryce, powoduje w znacznej części zmniejszenie się ich u nas, to przecież sądzę, że głównego powodu tego zjawiska szukać należy gdzieindziej. Przepiórka, choć z kuropatwą do jednej rodziny należy, jednak odmiennych warunków do bytu potrzebuje. Podczas gdy druga, z przyczyn dotąd niezupełnie wyjaśnionych, mnoży się z wzrastającą kulturą rolną i wskutek tego rozszerza się z zachodu ku wschodowi, przepiórka, jak nas doświadczenie poucza, cofa się w tym samym kierunku w okolice mniej uprawne. To usuwanie się jej na wschód, my w Krakowskiem bardzo wyraźnie spostrzegamy i widzimy, że jest równorzędnem z wzmagającym się u nas postępem w uprawie ziemi. Jeszcze przed niedawnym czasem miewaliśmy sporadycznie dobre lata przepiórcze, choć i te w porównaniu z dalszą przeszłością, były nienajlepsze. Od pewnego czasu jednak stan się znacznie pogorszył, a dwa ostatnie lata były poprostu zupełnie złe, podczas gdy we wschodniej Galicyi i Węgrzech, oraz w Rosyi, skargi na brak przepiórek dopiero się poczynają. Jak już wspomniałem, przyczyna rozmnoży kuropatw w okolicach o wysokiej kulturze rolnej, nie jest wyjaśnioną, a nawet po części zagadkową z tego względu, że zwierzyna w takich stronach, z powodu bezustannej roboty w polu, mało ma spokoju. Sądziłbym, że powodu tego zjawiska szukaćby trzeba w tem, że kuropatwa hodowaną była od lat bardzo dawnych, a więc przez wielką liczbę generacyi w krajach postępowej uprawy rolnej (Czechy, Niemcy), wskutek czego tak się przyzwyczaiła do tych warunków bytu, iż ich obecnie już wymaga i rozszerza się w te okolice, gdzie je znaleść może. Przepiórka atoli jako ptak przelotny, większą połowę roku przebywający w północnej Afryce, gdzie uprawa nader jest pierwotną, nie może oswoić się z płodami postępowego rolnictwa i żywi się dalej przeważnie nasionami zielsk i chwastów. Gdy jednak na polach dobrze uprawnych coraz mniej ich znajduje, szuka okolic, w których żer jej ulubiony znajduje się jeszcze w znacznej mierze. Ciesząc się z wzrastającej u nas rozmnoży kuropatw, bolejemy, polując na nie, nad nieuniknioną utratą przepiórki, która to polowanie tak bardzo urozmaica, żal nam, że coraz rzadziej z kołyszących się łanów zboża słyszymy bicie jej, ożywiające swojski krajobraz.

Dr. Henryk Szarski.

Ze wspomnień starego myśliwego.

W roku 1850 wstąpiłem do wojska jako kadet, a w roku 1854 zostałem zamianowany porucznikiem w pułku piechoty br. Bianchi i przydzielony do czwartej kompanii grenadyerów. Kompania ta konsystowała we fortecy Temeszwaru. Z końcem września dostaliśmy rozkaz podążyć za pułkiem do Multan, gdzie w Jassach cały pułk pozostawał. Przeszliśmy cały Banat, a w pierwszych dniach października stanęliśmy w Jassach.

Podczas marszu do Jass przybyliśmy do Frek, posiadłości węgierskiego magnata. Frek jest położony nad rzeką Maros, niedaleko gór Surol, na samej granicy ówczesnych państw naddunajskich. Właściciele nie mieszkali w zamku, w ostatniej kampanii utracili oni syna, który po rozbiciu korpusu generała B., uciekając z dwoma huzarami przez zamarzniętą rzekę Maros, załamał się na samym środku i utonął. We Freku była fabryka papieru. Mieliśmy tu dwa dni odpoczynku. Kapitan i nas trzech poruczników po obiedzie oglądaliśmy fabrykę, uprzejmie przez dyrektora oprowadzani. Za budynkiem fabrycznym było mieszkanie dyrektora. Gdyśmy weszli na obszerny dziedziniec, stało tam 10 wozów węgierskich, przeszło 20 psów gończych, buldogów, brytanów i jamników. Kilkunastu myśliwych zabierało się właśnie do odjazdu. We mnie serce zadrżało. „Gdzie panowie jedziecie?“ „Na niedźwiedzia“, brzmiała odpowiedź, „jeżeli pan myśliwy, siadaj pan z nami“.

Nie dałem sobie dwa razy tego powtarzać. Za chwilę byłem gotów. Była czwarta godzina popołudniu, gdy odjechaliśmy. Jazda była szalona. Węgier nie lubi wolno jechać, w godzinę przybyliśmy na połoninę. Na nasze przybycie czekała już naganka. Po dobrej kolacyi pokładliśmy się na wyścieloną słomę, nakrywając się kocami. Ledwie zaczęło świtać, budzi mię leśniczy,

który całą wyprawą kierował i każe wstawać. Nadstawił mi na śniadanie czudrę z winem, napiłem się do syta. W dziesięć minut później ruszyliśmy na stanowiska, które przeznaczono nam na zrębie. Ja dostałem stanowisko obok debry, którą mógłby się niedźwiedź prześliznąć. Na niedźwiedzia nie polowałem jeszcze nigdy, nic więc dziwnego, że rozmaite myśli przelatywały mi przez głowę. Kulą strzelałem celnie, a miałem dubeltowy sztuciec znakomitej roboty ś. p. Wiśniowieckiego. Strzał pewny, lecz coby się ze mną stało, gdyby pierwszy strzał niedźwiedzia tylko ranił, a druga lufa nie wypaliła? Uspakajało mnie jednak to, że miałem przy sobie dwa kalibrowe, służbowe pistolety, które bardzo celnie strzelały. Opatrzyłem dokładnie kapsle u dubeltówki i pistoletów i z największą uwagą wlepiłem wzrok w młodą jedlinę, która o 20 kroków przedemną się zaczynała. Nie trwało kwadrans, odezwała się trąbka, wzywając nagankę do pochodu i puszczenia psów na zwierza. Minęło znowu może piętnaście minut, gdy już psy wzięły na oko niedźwiedzia, który widocznie szedł wprost na mnie. Po upływie dalszych kilku minut, wyskoczył niedźwiedź z gąszczu i zwrócił się do debry, by tam skryć się przed psami. Oddalenie między mną a niedźwiedziem wynosiło tylko 10 kroków. Wymierzyłem w przednią łopatkę i dałem ognia. Niedźwiedź runął, ale podniósł się na tylne łapy, strzeliłem drugi raz, mierząc w lewe oko; z okropnym rykiem runął niedźwiedź na ziemię, a psy, w tej chwili nadbiegłe, rzuciły się na niego. Tu widziałem zażartość tych psów; buldogi czepiły się uszu niedźwiedzia i ciągnęły go za sobą kilka kroków. Radość moja, jak każdy myśliwy zrozumie, była nie do opisania. Była dopiero godzina 8 rano. Dyrektor kazał psy nie gończaki wziąć na sfory i odprowadzić do naszych fur, a gończaki puszczono w dole kniei na sarny, zające i lisy. Miałem osobliwsze szczęście. Zabiłem rogacza, trzy zające, lisa i dwa jarząbki. O czwartej popołudniu posiadaliśmy na bryczki i wyciągniętym kłusem podążyliśmy do Freku. Przed odjazdem jeszcze na tem miejscu, gdzie niedźwiedź padł, odcięto łapy, rozpalono ogień i upieczono je na nim. Mięso było dość kruche, lecz niesmaczne. Przybywszy do Frek zdjęto skórę z niedźwiedzia. Skórę dyrektor mnie ofiarował, lecz nie mogłem jej przyjąć, bo była ciężka, a nam oficerom nie wolno było mieć tylko 50 funtów bagażu w kuferku. Miałem zamiar zabrać ją po wojnie, gdybym tędy wracał. Nie przyszło do tego, z Multan bowiem szedłem wprost na Czerniowce, odprowadzając trzystu urlopników do kraju. Pod zimę wrócił pułk do Pesztu, a ztąd do fortecy Komorna, leżącej w klinie rzek Dunaju i Wagi. Tu miałem doskonałe polowania; zajęcy i kuropatw huk, dubeltów i kszyków setkami. Jednego dnia ubiłem 84 dubeltów, do kszyków nie strzelałem wcale, jednego tylko zabiłem, a to gdy mi się dwa naraz porwały, jednego chybiłem, z powodu bardzo małej odległości, drugi padł. Gdym przyszedł do Komorna i wstąpił do restauracyi, zastałem kolegów przy kolacyi. Obsypali mnie pytaniami, w którem miejscu napotkałem tyle ptactwa. „Jutro pójdziemy tam, musi ich tam być jeszcze spora ilość". Następnego dnia padał deszcz, a trzymając się przysłowia: „mokry strzelec, a suchy rybak dyabła warci", zostaliśmy w domu. Po deszczu nastąpiła najśliczniejsza pogoda. Poszliśmy w cztery strzelby tam, gdzie widziałem dubelty, każdy myśliwy miał swego doskonałego wyżła; pukanina była wielka, co kilka sekund padał strzał, a dublowano bardzo często; zabiliśmy w sześciu godzinach 237 kszyków, 10 cyranek i dwa zające; dubelta nie było ani jednego.

K. H.

KORESPONDENCYE.

Dobra koło Limanowej 19. kwietnia.

Sądząc, że szanownych Czytelników *Łowca*, zainteresuje niniejsza przygoda na polowaniu na dzika, postanowiłem ją opisać.

Popołudniu 18. lutego b. r. o pierwszej godzinie wyjechaliśmy w kilka strzelb do Półrzeczek, wioski o godzinę drogi od Dobrej odległej, aby tam, w małym, zaledwie 25 ha. obejmującym lasku świerkowym, zapolować na dzika, obciętego przez naszego słynnego tropiciela, Wojciecha Dudzika. Dzień był piękny, termometr wskazywał 12⁰ nad zerem, tu i tam na szczytach rozległych rewirów jodłowych i bukowych, widać było trochę śniegu, to też nic dziwnego, że podczas jazdy zabawialiśmy się marzeniami wczesnego ciągu słonek, który zwykle u nas dopiero w pierwszej połowie kwietnia rozpoczyna się, gdyż często jeszcze z końcem marca śnieg po pas w lasach leży.



Snując podobne projekty na przyszłość, aniśmy się spostrzegli, kiedy stanęliśmy u celu naszej wyprawy.

Po krótkiem sprawozdaniu tropiciela, poleciłem obstawić naokoło miot strzelcami, a na dany znak ostatniego z myśliwych, miała pogonka, z dziesięciu ludzi złożona, cicho ruszyła. Niebawem dano znak, pogonka ruszyła i chociaż stosunkowo sporo czasu ubiegło od rozpoczęcia, oczekiwany dzik nie wyruszył. Tu i tam pomknął tylko dziki zając*), lub z krzykiem przeleciała sojka i znów cisza. Gdy pogonka już znacznie się zbliżyła do głównej linii myśliwych, dał się słyszeć z podrostu świerkowego, oddalonego od nas o kilkadziesiąt kroków, lekki szmer toczących się po uboczy drobnych kamyków. Każdy z nas chwycił silniej za sztuciec lub dubeltówkę i znów cisza zapanowała. Nagle ponowne toczenie się kamieni i w kilku susach wysunął się silny odyniec przed tutejszego rachmistrza, p. V., który nie namyślając się długo, a raczej nie mając czasu do namysłu, strzelił na 35 kroków z sztućca „Kropatschek“ 15·1 mm., w lewy bok odyńca pod kątem bardzo ostrym. Odyniec po strzale upadł, porwał się jednak natychmiast na nogi, skoczył w bok i w miot powrócił. Na miejscu nie pozostawił jednak ani posoki, ani innych znaków, zdradzających śmiertelne zranienie i jedynym dowodem, że kula nie chybiła celu, był lekki upadek odyńca i zwykła pewność strzału p. V. Po zgromadzeniu się wszystkich myśliwych i naganiaczy, wysłałem tropiciela Dudzika, by stwierdził, czy dzik z miotu wyszedł. Obstawieni strzelcy stanowczo twierdzili, że nie przeszedł po za linię myśliwych, czemu jednak nie bardzo wierzyłem, nie przypuszczając, by w tak małym miocie, po opisanym strzale zaraz obległ. Wiem bowiem z doświadczenia, że nawet po strzale wysokim w komorę, często jeszcze kilkaset kroków uchodzi.

Po chwili usłyszeliśmy z miotu przegonionego nawoływanie tropiciela „Chodźcie! pomagajcie! ratujcie! bo mi bestyjo całkie guniorki**) potorgo“. Wszyscy pośpieszyliśmy w kierunku dochodzącego nas głosu i o dziwo! dzik stoi przed tropicielem i tnie na boki, a tropiciel trzyma dzika rękami i odpycha całą siłą od siebie. Rzecz nie do-uwierzenia, a jednak prawdziwa.

O uwolnieniu strzałem tropiciela od dzika w tej chwili mowy nie było, z powodu w koło stojących myśliwych i naganiaczy. Zbiegowisko jednak musiało przerazić trochę odyńca, skoczył bowiem w bok, powaliwszy naturalnie tropiciela i o kilka kroków stojącego i do strzału gotowego p. V., którego niespodziewanie gwizdem podsadził w górę.

Scena ta mogła mieć bardzo smutne zakończenie, gdyby nie dwa prawie równoczesne strzały, jeden w powietrze, ze sztućca upadającego p. V., a drugi z dubeltówki leśniczego S., który celnym strzałem w kark, uskakującego odyńca na miejscu położył.

Wszystko to następowało po sobie tak prędko, że przerazić się niebezpieczną sytuacyą nie było czasu, co więcej, widok leżącego na ziemi tropiciela, klnącego ciągle dzika za swe „guniorki“, niedaleko zaś rachmistrza z rękami i nogami zadartemi do góry, nieuszkodzonego wcale, a nawet śmiejącego się, bez okularów, kapelusza i sztućca, między zaś powalonymi rozciągnięty, a nieżywy już odyniec, przedstawiał obraz nad wyraz komiczny i ogólny śmiech nasz wzbudzić musiał. Kula z pierwszego strzału rachmistrza, oderwała kawałek prawego skrzydła płuc, przeszła skośnie przez odyńca i wyszła dołem obok prawego udźca.

Fotografię tego małego chłopka a dzielnego tropiciela wraz z odyńcem dołączam.

Dla bliższego objaśnienia, podaję opowiadanie tropiciela jego własnemi słowy, w jaki sposób uchwycił dzika.

„Jakek na rozkoz p. nadleśniczego łod panów odsed wlozem na drozynę w lasku co to na dół wiedzie, byk lepi śledzić móg, no i zaroźnicek dali doźrołek trośka krwie, no farby, posedek jušci cichutko dalik za śladom, no i doźrołek tą bestję, Panie święty łodpuść, jak lezoł pod smreckiem. Łuciesyłek się straśnie, ze psio moc lezy...., no i poskocyłek do niego, chycíłek za cuprynę, by mu się przyźrýć, a ta bestjo, Panie święty łodpuść, dźwigo się i pcho się na mnie, wreście zacyna guniorki pruć i krwawić, a skoda ik, bo jesce dobre były, takek zacon na gwolt wołać, no a doreśty panowie wiedzą. E, kieby ja był psy panak cieślice*) nie pozucił, to ja byk mu dał moje guniorki psuć, ale coz, miałek ja koziorka**) w garści, no ale chwalas ci Panie, kiedy juz lezy i zimniaków psio moc rył nie będzie, a i pon nadleśnicy nie będą markotni“.

Nie pierwszy to dowód lekceważenia dzików ze strony naszych chłopów.

Z pomiędzy wielu przytoczę tu jeszcze jeden fakt, jeżeli jednak was nudzę, szanowni czytelnicy, powiedzcie, a na przyszłość ograniczę się na krótkiej relacyi, albo dam wszystkiemu spokój i będę notował zdarzenia z dziedziny łowiectwa, jak dotąd, tylko w mym notatniku łowieckim.

W pierwszych dniach maja 1894 r. poleciłem jednemu ze strażników polowania, by uważał w rewirze „Czwilin“, gdzie mniej więcej i o którym czasie, wychodzi rogacz dziesiątak, którego też później w czerwcu strzeliłem.

Strażnik ten wyszedł około 4-tej popołudniu na polanę, bo tam najczęściej dziesiątak wychodził i usiadł na kępie kamieni, wśród skarłowaciałych buków w kraju lasu, by całą polanę dobrze widzieć. W niespełna pół godziny usłyszał szelest w opadłych jesienią liściach i równocześnie spostrzegł lochę z sześciu warchlakami wprost do niego zdążającą. Gdy familia ta zbliżyła się na kilka kroków, strażnik strzelił. Locha znikła w gąszczu, a między warchlakami powstało zamięszanie, z którego skorzystał strażnik, skoczył między warchlaki i chwycił w obie ręce po jednym. Ponieważ jednak ten, którego trzymał lewą ręką, zanadto dosadnie okazywał, że ostre ma uzębienie, puścił go, tem silniej jednak uchwycił drugiego i bez kapelusza, który wśród łapania warchlaków spadł mu z głowy i bez strzelby pobiegł do domu, włożył warchlaka w worek i przyniósł do mnie.

Nie mogliśmy się dość nadziwić, jak to maleństwo umieszczone w klatce pozostałej po puhaczu, mimo doznanego przestrachu i utraty wolności, po kilku daremnych podskokach po ścianie klatki, zaraz jadło świeże, w talarki krajane ziemniaki.

Warchlaczka tego wychowałem, żywiąc go w pierwszych początkach mlekiem z owsianką, a później zie-

*) Tutejszy lud tak zwie zająca, królika bowiem nazywa „chołpnym“ zającem.

**) Spodnie z sukna.

*) Siekiera szeroka.

**) Sucha gałęź świerkowa.

mniakami gotowanymi i maszczonymi owsianą mąką, z małym dodatkiem mleka kwaśnego lub słodkiego.

W jesieni odstąpiłem, już jako pięknego warchlaka, (45 klg. ważącego), hrabiemu Józefowi Mailathowi z Perebenyk do zwierzyńca, gdzie służy do odświeżenia krwi.

Dodać muszę, że „dzikuś" (tak go nazywałem), poznawał mnie po chodzie już na kilkanaście kroków i wówczas upominał się głośno o chleb z solą. Po zjedzeniu tego przysmaku, kładł się na bok i dotąd krząkał, dopóki nie potarłem go laską po boku i nie pogłaskałem. Wogóle bardzo był łagodny, z mym legawcem często prowadził dłuższą, naturalnie, im samym tylko zrozumiałą rozmowę, która jednak była tak komiczną, że pobudzała całą moją rodzinę do serdecznego śmiechu.

Edward Kopetschny.

Sokal, 26. kwietnia 1899.

Z powodu artykułu p. hr. Juliusza Tarnowskiego, zamieszczonego w Nr. 7. *Łowca* z dnia 1. kwietnia 1899, w dziale „Korespondencye", omawiającego kłusownictwo w okolicy Byszowa, w którym zrobiono bezpodstawny zarzut tut. c. k. Starostwu, upraszam szanowną Redakcyę, na podstawie §. 19. ust. pras. z 17. grudnia 1862 Dz. p. p. Nr. 6. ex 1863. o zamieszczenie w najbliższym numerze *Łowca* niniejszego sprostowania:

Zrobiony w powołanym artykule zarzut, że wobec szerzącego się kłusownictwa „c. k. Żandarmerya mimo najlepszych chęci jest bezsilną, bo władza polityczna broń dziś kłusownikowi odebraną jutro zwraca" jest zupełnie bezpodstawny, gdyż wedle obowiązujących ustaw, do osądzenia i ukarania kłusownictwa nie c. k. Starostwo, lecz c. k. Sądy są powołane, Żandarmerya przeto nie do Starostwa, lecz do Sądu donosi o wypadkach kłusownictwa i Sądom broń przedkłada. C. k. Starostwo nie było zatem nawet w tem położeniu, żeby kłusownikowi broń „dziś odebraną jutro mogło zwrócić", gdyż broni tej wcale nie otrzymało.

Jeżeli zaś w wypadkach przekroczenia patentu o broni (a nie kłusownictwa) skonfiskowaną broń przedłożyła c. k. Żandarmerya c. k. Starostwu, to znowu nie było wypadku, aby c. k. Starostwo broń taką bez przeprowadzenia dochodzenia i bez wydania wyroku uwalniającego, zwróciło stronie, w tym bowiem wypadku zatrzymanie broni bez udowodnienia winy, byłoby nielegalnością.

W tem postępowaniu nie miało c. k. Starostwo innego „wyrachowania", jak tylko ścisłe stosowanie legalności i prawa.

C. k. Starosta Korosteński.

Wysuczka 10. marca.

Ilość ubitej zwierzyny drapieżnej za czas od 1. marca r. 1898 do 1. marca 1899 w Ordynacyi Wysuckiej:

Lisów 18, psów 35, kotów 43, łasic 2, tchórzy 4, jastrzębi dużych 67, jastrzębi małych 24, kruków 4, wron 56, srok 284. *K. Welenowski.*

Antonów i Muchawka w pow. czortkowskim 16. kwietnia 1899.

Dziwny to teren polowania, bo bez kawałeczka lasu, li tylko pola, chyba, że polowanie raz, lub najwyżej dwa razy do roku, na zamarzniętych stawach w szuwarach, za polowanie leśne ktoś łaskawie uważać zechce. Ale co robić? na bezrybiu i rak rybą. Prawdziwie dobre musiały to być czasy, kiedy i całe Podole obfitowało w bory, a ciężką sprawę mieć muszą ci ze św. Hubertem, którzy do teraźniejszego stanu się przyczynili.

Pomimo jednak tak opłakanego i fatalnego dla myśliwego położenia, zawsze jeszcze coś pozostało, ale jak trudno utrzymać bodaj maluczko, na czystem polu, przy podolskim, ostrym klimacie, gdzie oprócz psów, wiecznie po polach się wałęsających, nie brak i innych małomiasteczkowych amatorów przedewszystkiem zajęczej pieczeni. Stan zwierzyny był w roku zeszłym, t. j. do ostatniego ustawą zezwolonego zajęczego strzału, wcale zadowalający, jest tylko obawa, by mrozy, które tak się spóźniły po dniach wiosennych, złego skutku na młode pokolenie zajęczego rodu nie wywarły.

Wprawdzie widzi się po polach dość gęsto parki, ale skutek dopiero jesień pokaże, w każdym razie pierwszy pomiot marcowy niepewny.

Kaczek na stawach z nastaniem ciepła w pierwszych dniach kwietnia, niebywała ilość się pokazała, najstarsi ludzie nie pamiętają takiej obfitości z wiosną. W zeszłym tygodniu podjechałem przypadkowo, jadąc konno samym brzegiem stawu, i ujrzałem stado najmniej 200 sztuk wynoszące; zerwały się wprawdzie z wielkim łopotem, ale zaraz napowrót zapadły. Jest więc miła nadzieja. Przepiórkę również już widziałem, ale od lat kilku ilość tych miłych gości tak znacznie zmalała, że jak tak dalej pójdzie, niedługo i one do rzadkości w naszych stronach należeć będą, bo gdy dawniej 30—40 sztuk przynosiło się z jednej poobiedniej zbrojnej przechadzki po łanach, dziś kilka przynieść trudno. Ale nie nasza w tem wina, kiedy je tak we Włoszech dziesiątkują nim się do nas dostaną, chyba może konferencya pokojowa w Hadze przy wolnych chwilach o nich pomyśli.

Dropie wyjątkowo tego roku nie gościły u nas dłużej, pomimo dobrych ozimin i rzepaków, widocznie nadzwyczajnie łagodna zima posłużyła im do dalszych ekskursyi, aby znowu przypomniały sobie o naszych rozległych łanach. Kuropatw mam sztuk 12, przezimowały dobrze, by tylko teraz uniknęły spotkania z jastrzębiem. Kończąc, przesyłam spis ubitej własnoręcznie zwierzyny i szkodników z roku zeszłego do ostatniego ustawą zezwolonego strzału do zajęcy, a mianowicie: zwierzyny pożytecznej: zajęcy 34, przepiórek 19, chruścieli 4, kszyków 2, kaczek cyranek 28, kaczek krzyżówek 16, drobnego wodnego ptactwa 9, razem sztuk 112; zwierzyny szkodliwej: lis 1, psów 7, kotów 2, jastrzębi 9, wron 21, sroka 1, razem sztuk 41. Ogółem 153 sztuk.

Antoni Abgaro-Zachariasiewicz.

Sierakowce, 30. kwietnia.

„Sąsiedzi".

Wracam właśnie z polowań i w tej Odysei
Miałem dużo i zwątpień i dużo nadziei.
I nieraz z nosem spuszczonym na kwintę,
Czystą na kołku zawieszałem flintę,
W nadziei, że może jutrzejszego ranka
Łaskawszą się dla mnie okaże sylwanka.
Bo rola spektatora, o ile w teatrze

Miłą bywa czasami, gdy na scenę patrzę,
O tyle anielskim nie grzeszę humorem,
Gdy tylko cudzych zwycięstw bywam spektatorem.

Bywało to tak nieraz, bywało i lepiej,
Nieraz sąsiad „najmilszy“ rogacza prześlepi,
Lub spudłuje lisa, co strzelców lonżuje,
Więc zaraz się człeku humor restauruje.
A dwu takich sąsiadów, gdy ci dadzą bogi,
To o spotkanie własne nie miej żadnej trwogi,
Bo choć mają „angielki“ i ubrani ładnie,
To nieraz ci po nich poprawić wypadnie.
A więc pilnie uważaj. Ot sąsiad się składa,
Celuje skrupulatnie, lecz wnet broń odkłada,
Nie poznał, tem lepiej. Niech zawsze tak raczy!
Ty za to masz dubletę do jego rogaczy.
Jest innych sąsiadów mniej miły gatunek,
Juczny zwykle w pełny, myśliwski rynsztunek,
Zbrojny w instrumentów łowieckich bez miary,
Dźwięczących, by rozbity browarny wóz stary.
O, z takim sąsiadem nie mało kłopotu,
Zwykle wszczyna dyskurs gdzieś w polowie miotu,
Kicha jak z moździerza, pół linii zasłania,
Na czwarte stanowisko, uprzejmie się kłania,
Ciągle się obłamuje, zapala zapałki,
Ma z laską, kordelasem wieczne perepałki;
Zaczepia cynglami o guziki, sznurki,
I nieraz mimowoli pali z swej dwururki,
Ciesz się, jeśli w górę, a nie po twej szacie,
Bo i to się tym panom przytrafia, mój bracie!
A gdy źle to przyjmiesz jeszcze się obraża,
Twierdzi, że raz pierwszy to mu się wydarza.
I gotów cię przekonać z słodko kwaśną miną,
Że tego wypadku sam jesteś przyczyną.

Ha, różnych mamy ludzi, nie ma na to rady,
Lecz gorsze na świecie są jeszcze sąsiady!
Nie sąsiad to na linii, nie na stanowisku,
Lecz sąsiad, co poluje tylko na półmisku.
A tacy sąsiedzi, nie lękam się wcale
Powiedzieć, że są gorsi niż hyeny, szakale,
A gdzie się ich kilku w okolicy chowa,
To jakby szła po kniejach „dziewica morowa“,
Nie dochowasz się wtedy na swym łanie ptaka,
Nie znajdziesz w własnym lesie kozła, ni szaraka.
Lecz za to u sąsiada rzecz o zwierza łatwa,
Na stole w kwietniu zając, w czerwcu kuropatwa,
A koza, w obfitości, jak cały rok długi,
Bo choć pan nie myśliwy, lecz ma wierne sługi,
Co na wylot znają całą okolicę,
I jak oka strzegą sąsiedzką granicę.
A straż tę graniczną tak sprawują dzielnie,
Że co przejdzie twą miedzę idzie na patelnię.

To rozkosz taki sąsiad, a są i wypadki,
Że polują w ten sposób nadobne sąsiadki,
Co chociaż z serc czułych i litości słyną,
Zjadają bez skrupułów jarząbka z rodziną,
Lub kozę od koźlęcia, zająca od dziatwy,
Na gniazdach połapane biedne kuropatwy.
I śmieją się z naszego jeszcze oburzenia,
Bo czyliż zwierzyna nie jest do zjedzenia?
A co już sąsiedzka oszczędziła furya,
Dodusza razem z psami cicho piąta kurya.

Smutne takich przyczyn muszą być wyniki,
Nie ma u nas w kraju łowieckiej etyki
I nie ma myśliwych, bez miary strzelaczy.
Święty nasz Hubercie! daj raz już inaczej!

Aleksander Przedrzymirski.

Gródek ostroszycki (pod Mińskiem) w marcu 1899.

Karmiciel ptaszków.

Od pięciu lat zajmuję się karmieniem ptaszków i sądząc, że opis tego zainteresuje szanownych czytelników *Łowca:* proszę więc o umieszczenie tych kilku wierszy.

Gośćmi moimi są przeważnie sikory, makolągwy, gile i dzięcioły. Sikor przychodzi trzy gatunki, największa z czarnym łebkiem, a żółtem podbrzuszem, maleńka, z niebieskim łebkiem i skrzydełkami z żółtem podbrzuszem, wreszcie popielata z czarnym łebkiem. Dzięciołów widzę dwa gatunki, jeden wielki, pstry, czarno z białem nakrapiany, z czerwoną plamką na tyle głowy i koło ogonka ze strony podbrzusza; drugi dzięciołek mały, z wierzchu szaro-stalowy, pod brzuszkiem biały, brunatny. Makolągw i gilów jeden gatunek. W czasie ciężkich zim przylatywały do jadła jakieś nieznane mi ptaki, upierzone podobnie jak szczygieł, tylko dwa razy większe od niego. Te ptaki siadają po drogach, traktach; widywałem je tylko zimą za Koziatynem i Berdyczowem. Była ich tylko para. (Były to prawdopodobnie jemiołuchy P. R.) Ptaszki zaczynam karmić od 1. października, a kończę w marcu, choć i potem wystawiam im jadło, nie tak jednak obficie jak w zimie. Pod dwoma oknami, od podwórza, porobiłem dwie półki i na tych półkach stawiam rano miski gliniane, najczęściej z kaszą kartoflaną, przyprawioną masłem lub słoniną, i to dobrze, bo inaczej grymaśniki nie chcą jeść. Na zmianę daję oprócz siemienia zwyczajny „melszpeis“ z ryżu lub z manny i w ogóle to, co ze stołu zostaje, do tego dodaję jednak kawałki tłustego mięsa, drobno pokrajane. Dzięcioł dobrze przewraca kaszę, szukając tych kawałków. Jeżeli zaśpię, ptaszęta bębnią dzióbkami po oknie, że ledwie szyby nie rozbiją. Skoro tylko miski wystawię, rzucają się ptaszki na jadło, nic na to nie zważając, że ja tuż w oknie siedzę i przypatruję się im. Sikorki, a szczególnie te mniejsze są najwięcej śmiałe. Popielata (popówka P. R.) jest bojaźliwa wobec innych ptasząt, a najśmielsza do człowieka. Sikorki jedzą wszystko, ale najczęściej chwytają siemię konopiane w dzióbek, wsadzają między obie łapki, któremi je silnie ściskają i tak długo tłuką w skorupkę, póki ona nie pęknie i nie pozwoli im dostać się do ziarnka. Popielata sikorka chwyta naraz po kilka ziarnek w dzióbek, odlatuje, składa ziarnka na gałązce i jedno po drugiem rozbija dzióbkiem, tak jak tamte sikory. Gile jedzą chętnie siemię, ale lubią bardzo grykę, której jednak dla nich samych osobno nie daję. Gdy dzięcioł spadnie do miski, pozostają tylko dwa gatunki sikor, to jest ta największa i ta niebieska i jedzą razem z nim, ale zawsze są ostrożne, aby im swoim ogromnym dzióbem nie zadał ciosu. Dwa duże dzięcioły zawsze się pobiją, biją się w powietrzu, jak orły, skrzydła rozpościerają jak wachlarze koło miski. Silniejszy, odpędziwszy słabszego, sam zajada. Mały dzięciołek boi się dużego, chociaż on go nie odpędza i nie zważa na niego. Za to ten dzięciołek

odpędza znowu wszystkie małe ptaszki od miski. Zabiera w dziób kaszę i odlatuje, wkłada ją w jaką szparę w drzewie, czy w domu i zajada, siemię też wkłada niekiedy w szparę, tłucze i zajada, a niekiedy połyka wprost z miski kaszę i siemię. Siemienia konopnego wychodzi mi przez zimę koło 40 garncy.

W ogrodzie pozawieszałem skrzynki i pudełka, jedne z większymi, drugie z mniejszymi otworami. W tych pudełkach gnieżdżą się ptaszki. I to jest dziwne, bo, jak wiadomo, sikorki wszystkie są leśnymi ptaszkami i tylko na zimę schodzą do ogrodów dla łatwiejszego pożywienia się. Ponieważ jednak znajdują u mnie obfite pożywienie, bo, jak powiedziałem, i latem im trochę pomagam, zostają i gnieżdżą się w ogrodzie, niektóre w tych właśnie skrzyneczkach, inne w dziuplach naturalnych w brzozach i osice, inne znów w szparach domu mieszkalnego, skąd je jednak wypędzają wróble. Zuchwalcy ci pędzą sikorki także z pudełek, ale tu już ja interweniuję i strzelam wróble. Szpaki także gnieżdżą się w tych pudełkach, ale one żyją w zgodzie z sikorkami. Dzięcioły większe gnieżdżą się w osikach, w których robią sobie same dziuple z otworem wielkości srebrnego rubla. Dziuple te są tak nisko, że ja, dość niski, bez trudu do nich dostanę. Gdzie się mieści dzięciołek mniejszy, nie wiem, bom gniazda nigdy nie odnalazł, wywodzi się jednak w ogrodzie, zapewne gdzieś w wysoko położonych dziuplach. Sikorki mają dużo dzieci, widziałem po siedmioro (niekiedy mają szesnaścioro P. R.) Kiedy już wyjdą z gniazda, uczy ich matka latać z gałązki na gałązkę, z drzewa na drzewo, do czeremchy, gdzie jest najwięcej gąsienic, tutaj i same one uczą się jeść i matka ich obdziela. Później przyprowadza je do miski, one siedzą na około miski, dzióbki otwierają i skrzydełkami trzęsą, a matka po kolei zapycha im gardziołki kaszą. Dzięcioł duży przylatuje do miski, bierze w dziób kaszę i niesie do gniazda, z daleka słychać tylko, jak młode krzyczą. Widziałem także, jak dzięcioł łowił chrząszcze i nosił dzieciom.

Zeszłego roku zauważyłem, że w jednej skrzyneczce bywał niekiedy otwór ze środka trawą zatkany, niekiedy zaś nie. Kazałem przystawić drabinę i popatrzeć. Ledwie służący wszedł do połowy drabiny wyskoczyła ze skrzyneczki wiewiórka, w pudełku zaś było dwoje wiewiórcząt. Kazałem je napowrót włożyć i drabinę zostawić tak, jak była. Gdym nazajutrz kazał znowu popatrzeć, nie znaleziono nic. Widocznie matka z bojaźni o los dzieci, wyniosła je gdzieindziej.

Znudziłem zapewne szanownych czytelników; gdyby to pisał śp. Spausta, to i z tego zrobiłby taki śliczny opis, jak było wszystko to, co skreślił. Mnie starego cieszy to, że mogę ułatwić życie tym ślicznym i miłym stworzeniom i myślę sobie, że wśród czytelników *Łowca* niejeden się znajdzie, kto tak jak ja robił, robi, albo też robić będzie.

Andrzej Popowicz.

Żurawno, w marcu 1899.

Czytałem sprawozdania z rezultatów polowań w różnych stronach Galicyi, dlatego też pozwalam sobie donieść o polowaniu odbytem dnia 21. stycznia 1899 na polach żurawieńskich.

Było to w tych stronach pierwsze tego rodzaju polowanie, a mianowicie czysto polowe; ubito na niem w 6 strzelb, od godziny 1—4 po południu, 70 zajęcy. Jakkolwiek w stosunku do polowań w krajach zachodnich jest to rezultat niewielki, to jednak w Galicyi, a tembardziej w naszych wschodnich stronach, mało jest okolic, w którychby na 90 naganki w 6 strzelb, w przeciągu trzech godzin, taki skutek osiągnąć można. Trzeba także wziąć na uwagę i to, że naganka, jakoteż strażnicy do prowadzenia jej przeznaczeni, najmniejszego pojęcia nie mając o polowaniu w kociołki, wcale się nie przyczynili do uświetnienia jego rezultatu.

Wielką zasługę w podniesieniu zwierzostanu tutejszego ma właściciel Żurawna p. Antoni Skrzyński. Mając na celu usunięcie kłusownictwa i wytępienie drapieżców, nie szczędzi kosztów na utrzymanie energicznej straży, nagradzając ją w dodatku za przyłapywanie kłusowników i znacznem strzałowem.

Sprowadziwszy z Czech przed 4 laty kilkanaście parek kuropatw przyczynił się tem samem do znacznego ich rozmnożenia się, tu właśnie, gdzie kuropatwa przed kilku laty była rzadkością. Wielu myśliwych nie miało z pewnością często sposobności widzieć tyle kuropatw w jednym miocie, jak my podczas opisanego tu polowania. W jednym wyjątkowym miocie w łozinach, nad ujściem Świcy, około dwadzieścia stadek kuropatw przed naganką się zrywało, a przelatując ponad głowy myśliwych i zatrzymując ich wzrok na sobie, niejednego szaraka od celnego strzału wyratowały. Jeden lis nawet, korzystając z chwili sposobnej, zdołał się wymknąć, a tem samem uniknąć niechybnej śmierci.

Wykopano tu przed dwoma tygodniami z lisiej jamy w łozach nad Świcą, żbika, kotkę, właśnie w miejscu, gdzie stan zajęcy i kuropatw jest najlepszy. Widocznie zabłąkana, postanowiła w najkorzystniejszem miejscu dla siebie na stałe zamieszkać i to sama, gdyż samczyka przy największych trudach nie można było odszukać. *I. St.*

Warszawa, w maju.

Wystawa łowiecka w Warszawie.

Sprawa wystawy łowieckiej, która, jak wam już donosiliśmy, odbędzie się w czerwcu br., nieustannie postępuje. Komitet wystawy pozyskał piękny plac na wystawę, tuż obok lokalu Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa i rozpoczął już budowę pawilonów, według planów wygotowanych przez p. Horna. Koszt tych zabudowań według kosztorysu wynieść ma 3000 rubli, ale zdaje się, że zajdzie konieczność przekroczenia tej sumy, wobec znacznego napływu deklaracyi wystawców i szerokich ram, jakie wystawa przybiera. Oprócz wystawców, którzy bardzo licznie zgłaszają swój współudział, głównie w działach: przemysłowym i sztuki technicznej myśliwskiej, wiele jeszcze osób nadsyła zapytania, informując się o możność wynajęcia poszczególnych pawilonów. Nadto komitet wystawy otrzymał przyrzeczenie od hr. Tomasza Zamoyskiego, że wystawi cały swój zbiór myśliwski, przechowywany dotąd częścią w pakach we Frascati, a częścią pozostający w majątku hr. Zamoyskiego, w Jabłoni. Hr. Braniccy udzielić mają kolekcyi łowieckich ze zbiorów we Frascati. Główny pawilon będzie 108 łokci długi, a 10 szeroki, kryty będzie papą, a całkowicie oszklony, ma mieć trzy wejścia ze sta lowemi nad drzwiami ozdobami o motywach łowieckich. Stojąca pośrodku ogrodu werenda zużytkowaną będzie także na pawilon. Z przeciwległej strony pawilonu głównego stanie psiarnia drewniana na 25 klatek. Nadto w różnych

miejscach ogrodu stanie 14 pawilonów różnej wielkości i struktury, kosztem wystawców prywatnych.

Towarzystwo prawidłowego myśliwstwa ogłosiło drukiem przepisy, dotyczące tej pierwszej w Warszawie wystawy łowieckiej. Ustanowiło za każdy łokieć kwadratowy ściany, podłogi lub miejsca w ogrodzie opłatę 3 ruble. Opłata od psa wynosi rubli 5, od szczenięcia do roku rubli 2. Wystawcy wolni są od wszelkich opłat, o ile przedmioty przez nich wystawione nie stanowią przedmiotu handlu. Osoby chcące brać udział w wystawie, mają się zgłaszać do kancelaryi Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa w Warszawie, (Nowy świat 35) bądź osobiście, bądź listownie po odbiór blankietów deklaracyi wystawowych.

Przewodniczący sekcyi artystycznej wystawy książę Stefan Lubomirski, zwrócił się do artystów malarzy i właścicieli obrazów, kwalifikujących się na wystawę łowiecką, z prośbą o jak najliczniejsze uczestnictwo w wystawie. Celem bliższego ułożenia warunków, artyści mają najpóźniej do 20. bm. nadesłać deklaracye swoje do zarządu oddziału Tow. prawidłowego myśliwstwa.

Na winietę do dyplomów, przeznaczonych na wystawę, rozpisano konkurs, który wypadł wyjątkowo dobrze, tak pod względem ilości nadesłanych winiet, jak pod względąm pomysłów. Jury, składające się z ks. Jerzego Radziwiłła, księdza Zygmunta Chełmickiego, p. Juliana Hermana i p. Miłosza Kotarbińskiego znalazło się w prawdziwym *embarras de richesse*. Dosłowne brzmienie protokołu konkursowego najlepiej objaśni o jego rezultacie, Brzmi on:

„Delegacya konkursowa do wyboru najlepszej pracy z nadesłanych oddziałowi prawidłowego myśliwstwa dzieł, przedstawiających winietę dyplomową, rozpatrzywszy 28 utworów, jednomyślnie uznała następujące dwie prace jako zasługujące na nagrodę, a mianowicie:

1) Oznaczoną godłem: „Natura wilka ciągnie do lasu“ — i

2) Bez godła, z motywów poleskich.

Postanowiła więc z uwagi, że obiedwie te prace odznaczają się w równej mierze wybitnemi zaletami artystycznemi, na mocy art. 6 warunków konkursowych, połączyć obiedwie nagrody (pierwotnie przeznaczone) i na równe części je podzieliwszy, przyznać obudwu autorom po rubli 175.

Po otwarciu kopert okazało się, że autorem pierwszej pracy jest p. Franciszek Ejsmont, drugiej zaś p. Michał Wywiórski.

Nadto delegacya wyróżniła z pomiędzy reszty prac opatrzone godłami: a) „Ti-Ti“, b) „Szczęście“, c) „Pudlarz“ i d) „Gospodarstwo łowieckie“.

Winieta p. Franciszka Ejsmonta przedstawia się jak następuje: Duży jeleń z rozłożystymi rogami dzieli dyplom na dwa równe pola, mieścić mające tekst. Nad zwierzem znak Towarzystwa i główki sarenek. Po bokach głuszce na gałęzi, łoś w leśnym ostępie, tokowisko cietrzewi i ciąg kaczek na łące, jastrząb i okazały puhacz, a wreszcie godła myśliwskie, na dalszym zaś planie kozieł i sarna, odyniec, zające i kuropatwy.

Druga winieta p. Michała Wywiórskiego wygląda tak: U dołu kartonu dwaj gajowi polescy z torbami, obwieszonemi przytroczoną zwierzyną, tworzą dolne obramienie. Ponad nimi głuszec wyziera z głębi kniei poleskiej, w której dołem psy stanowią dzika; dalej leży zabity łoś, a nad nim myśliwy i naganiacz. Całość okala rama z kwiatów, uwieńczona rokiem 1899-ym, pośród kosza ze zwierzyną, przy którym waruje pies, z drugiej strony leży jeleń i sarna.

Z. D.

Sprawozdania łowieckie.

Z Królestwa.

W dniach 8., 9. i 10. lutego odbyło się polowanie w Tarnawatce, dobrach p. Rudolfa Kryńskiego, w którem wzięło udział 12-stu myśliwych. Na rozkładzie znalazło się 10 dzików, 2 lisy, 4 rogacze i 41 zajęcy. Królem polowania był p. Stanisław Lilpop z Brwinowa, który zabił 4 dziki, lisa i 4 zające. Wspaniałym dubletem do dzików odznaczył się p. Tadeusz Busse. Polowaniem kierowali wybornie pp. Paprocki i Mordasiewicz. Knieja w Tarnawatce poszczycić się może nietylko wielką ilością zwierzyny, ale i znakomitym drzewostanem.

Odezwa. Do litościwych serc naszych czytelników zwracamy się z prośbą, aby raczyli pośpieszyć z pomocą biedakowi, który wskutek wieku podeszłego niezdolny do wszelkiej pracy, a nadto ciężką niemocą przykuty do łoża, niezaopatrzony znikąd, wydany jest prawie na pastwę śmierci głodowej. Biedakiem tym jest, znany wielu naszym łowcom, p. Karol H., wynalazca znakomitych pigułek na choroby psie. Pigułkom tym niejeden z naszych członków zawdzięcza wyleczenie swojego psa. Prosimy naszych czytelników, aby byli łaskawi pospieszyć z pomocą p. H. datkami i ulżyć jego nędzy. Wydział Tow. łowieckiego złożył na ten cel na ostatniem posiedzeniu 10 zł. Łaskawe datki przyjmuje administracya *Łowca* i skarbnik Towarzystwa łowieckiego p. Dzikowski.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.